Nie wszyscy legioniści polubili Chorwata. Był wyniosły. Z natury dowcipny i wesoły lubił jednak ponad miarę pożartować ze słabszych technicznie zawodników. Sam był tu niedoścignionym mistrzem, sądził więc, że ma prawo pożartować z „drewniaków". Tu i ówdzie porównywano Stiepana Bobka z genialnym Węgrem Ferencem Puskasem. A jednak odszedł z Legii. Dlaczego? U schyłku sezonu niektórych piłkarzy zaczął posądzać o handel ligowymi punktami. Zraził sobie tym najbliższe otoczenie. To jedna z przyczyn pożegnania Chorwata z Legią. Ale była też druga, znacznie poważniejsza – zainteresowały się nim wojskowe służby informacyjne. Był szpiegiem? Nielada „zagwozdka" spadła zwłaszcza na głowę generała Tadeusza Jedynaka, wtedy szefa wojskowego kontrwywiadu, a w młodości partnera Górskiego z boisk piłkarskich we Lwowie.

– Co zrobić? – zastanawiał się wraz z Potorejką. – Po co właściwe Jugosłowianie przysłali nam tego Bobka?... Teraz nasze służby depczą mu po piętach... Jak to rozegrać?...

Kierownictwo Legii dość sprytnie pozbyło się tego kłopotu. Ponieważ ówczesne naczalstwo GKKF nie wyraziło zgody na opłacenie pracy Bobka w Legii w twardej walucie, na Łazienkowskiej grzecznie wypowiedziano mu umowę. Chorwat przyjął tę decyzję w miarę spokojnie, można było odnieść wrażenie, że nawet z pewną ulgą, bo miał już dość sporów z duetem Strzykalski – Zientara. Im najbardziej nie podobało się traktowanie niektórych piłkarzy per noga. Przy rozstaniu nikt nie ronił łez, zadowolone były obie strony. Do Legii wrócił wkrótce Górski.

BOJE TRENERÓW Z DZIENNIKARZAMI

Od kilku lat, to następstwo groźnej piłkarskiej kontuzji, mocno dokuczały mi bóle kręgosłupa. Jednak chęć pokopania piłki była silniejsza od tej dolegliwo-

ści. Kolejna okazja przydarzyła się podczas turnieju UEFA w Bułgarii. W Plowdiw, dzięki staraniom Dymitra Popdymitrowa, jeszcze przed rokiem czołowego napastnika Spartaka–Lewskiego Sofia, a w roku 1959 już znanego dziennikarza „Naroden Sportu", zorganizowano atrakcyjny mecz „TRENERZY-PRASA" z udziałem reprezentantów 16 krajów. Nasz udział w tym widowisku był wyjątkowo duży i znaczący. W ekipie trenerów wystąpili: Kazimierz Górski, Mieczysław Gracz i Wiesław Motoczyński, a w zespole dziennikarzy: Stefan Grzegorczyk, Jerzy Lechowski i Stanisław Wojtek.

Przed grą, jak zawsze dowcipny „Messu" Gracz, zapytał mnie z głupia frant:

– Panie Jurek, czy był pan kiedyś w szlachtuzie?

– Nie, nie byłem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– No to zaraz tam pan będzie...

– Ale co to jest szlachtuz, panie Mieciu?

– Nie wie pan? Rzeźnia... Zaraz to pan zobaczy. Prawdziwą rzeź niewiniątek...

Faworytem spotkania TRENERZY − DZIENNIKARZE byli oczywiście szkoleniowcy, w większości ludzie przed czterdziestką, piłkarsko zdecydowanie od nas lepsi, eskligowcy i reprezentanci swoich krajów. W zespole prasy dorównywał im tylko Popdymitrow. Powierzyliśmy mu najtrudniejsze zadanie, miał opanować środek boiska. Zrobił to doskonale. Najmłodszy w naszym towarzystwie, Stefan Grzegorczyk usiłował wyłączyć z gry Górskiego, a Staszek Wojtek (niedawny napastnik AKS Niwka) miał strzelać bramki. Ja rozgrywać i uderzać z dystansu. Tak sobie pomarzyliśmy. Mądrale. Trzeba to pokazać na boisku przed najlepszymi juniorami z 16 krajów Europy!

Rzezi nie było! Do przerwy, kiedy nasze organizmy jeszcze się nie buntowały, że je nadmiernie eksploatujemy, nawet prowadziliśmy 3:1. Dwie bramki zdobył Stasio Wojtek ze „Sportu" Katowice, a jedną w swoim stylu, prostym podbiciem z dystansu, Juruś Lechowski z „Przeglądu Sportowego". Trenerzy odpo-

wiedzieli na to tylko jednym golem Kazia Górskiego. Po przerwie jeszcze przez jakiś czas dawaliśmy sobie radę, ale w ostatnim kwadransie goniliśmy resztkami sił. A trenerzy szaleli! „Messu" znowu przeżył swój wielki benefis. Zaraz po wojnie w meczu Szwecja – Polska w Sztokholmie strzelił dwie bramki, a teraz powtórzył ten wyczyn w tej niby „rzezi niewiniątek" w Plowdiw. Jednak niemal do ostatniej minuty prowadziliśmy 3:2, dopiero ostatni rajd Gracza okazał się zabójczy – 3:3! Ten remis był niewątpliwie naszym sukcesem i wzmocnił pozycję wśród trenerów. Staliśmy się ich cenionymi partnerami.

Niestety, gorzej od dziennikarzy spisali się w Bułgarii polscy piłkarze. Grali w jednej grupie z Czechosłowacją, Francją i NRD. Pierwszy mecz z Czechosłowacją w Starej Zagorze zremisowali 1:1. W tym samym czasie trener Gracz wystąpił w roli zwiadowcy na meczu NRD – Francja.

– Jak tam było? – zapytałem. – Jakie nowiny przynosi nasz „szpieg"?

– Nie jest źle. Jeśli nasi juniorzy zagrają tak, jak z Czechosłowacją, z sercem i odważnie, mogą wygrać oba mecze. Od piłkarzy NRD jesteśmy lepiej wyszkoleni, oni grają siłowo... Natomiast spotkanie z Francją powinno być widowiskowe, na dobrym poziomie technicznym...

Drugi mecz i drugi remis, tym razem 3:3, szczęśliwy dla Francuzów. W końcowej fazie gry Polacy mieli miażdżącą przewagę, ale zawodzili strzałowo. Pudłowali Krajczy i Wilczek, a Śladek wprost irytował „strzało-wstrętem". Teraz wszystko miało się rozstrzygnąć w meczu z NRD. Nie zagrał chory Piotr Suski i zgasł duch w drużynie. Oddaliśmy punkty bez walki. Po boisku pętało się jedenastu śpiących królewiczów...

– Bez ikry, bez zęba i zaciętości... W tak poważnym turnieju... Primadonny! – żalił się trener Górski.

– Mam już czterdzieści lat, ale czegoś podobnego jeszcze nie wiedziałem! Cebula i Sass dupą bronili dostępu do bramki – łapał się za głowę Gracz.

Polacy byli w swojej grupie, obok Francuzów, najlepiej wyszkoleni technicznie, ale była to „technika stojąca", nieużyteczna. Zabrakło prostopadłych podań na dobieg. A jednak i z tego „mdłego" zespołu o kadrę pierwszej reprezentacji otarli się: bramkarz Marian Wilczyński, pomocnicy Piotr Suski i Stanisław Sass oraz napastnik Erwin Wilczek. Po tym turnieju wypowiedziałem się za koniecznością powolnego wprowadzania juniorów do zespołów ligowych. W przeciwnym razie pogubimy talenty...

Sukces w meczu z trenerami Europy zachęcił dziennikarzy do rozegrania podobnego w relacji krajowej. Za przyzwoleniem kolegów podjąłem się tego zadania. Trzeba było tylko przekonać do tego pomysłu trenera Koncewicza i solidnie się przygotować. Udało się jedno i drugie. „Faja" obiecał zmontować silny skład szkoleniowców, ja indywidualnie chyba przez trzy miesiące trenowałem na bocznym boisku Legii i od czasu do czasu ściągałem tam na gry kontrolne wszystkich kandydatów do dziennikarskiej reprezentacji.

Spotkanie wyznaczono na wrzesień. Miało ono uatrakcyjnić zakończenie Wyścigu Dookoła Polski. Komplet widzów na Stadionie Dziesięciolecia. W dniu meczu przez cały dzień padał deszcz. Odczuł to mój kręgosłup, dał sygnał, że to nie dla niego pogoda. Na śliskim boisku nie wolno ryzykować! Zły na wszystkich świętych zostałem w szatni. Zawiedzeni koledzy wybiegli na murawę beze mnie, ale z zapewnieniem, że dobrze zagrają. Słowa dotrzymali. Do 85 minuty wynik był bezbramkowy, co więcej dziennikarze mogli nawet prowadzić. Raz na przeszkodzie Zbyszkowi Mejerowi z "PS" stanęła poprzeczka, za drugim razem Zygmunt Głuszek (również „PS") spudłował z kilku metrów.

Sprawozdawcami z tego spotkania byli kapitan reprezentacji Polski, Andrzej Zientara i lewoskrzydłowy Gwardii, bohater z meczu RFN – Polska w Hamburgu, Krzysio Baszkiewicz. Wychodzili z podziwu dla dobrej postawy dziennikarzy. Rywale z nazwiskami: Głowacki, Szczepaniak, Koncewicz, Król,

Kuchar, Górski, Matyas, Kisieliński, Prouff... Z wybitnych niegdyś piłkarzy zabrakło tylko „Messu" Gracza. Skład „Prasy" był oparty na „Przeglądzie Sportowym": Witold Różycki w bramce, Zbigniew Mejer w pomocy, Janusz Kłos i Zygmunt Głuszek w ataku; w obronie i pomocy wspierali tę czwórkę dwaj nasi współpracownicy ze Śląska Tadeusz Sas (Wieczór Katowice) i Andrzej Marondel (Sport Katowice).

Dużym wzmocnieniem dla tej szóstki byli przede wszystkim Mieczysław Szymkowiak (Sport), Stefan Grzegorczyk (Sportowiec), Jerzy Budny (TVP) i Jan Tyczkowski (Przyjaźń). Z tym ostatnim szczególnie mnie dobrze się kopało, miał zmysł do gry kombinacyjnej. Niestety, stracił partnera. Osłabienie naszego składu było dużo większe, niż trenerów. Z powołanych przez mnie kolegów z różnych powodów zabrakło przede wszystkim strzelców trzech bramek z Plowdiw (Wojtek i Lechowski), Zygmunta Siecha (Sport), Jana Frandoferta (Tempo), Stanisława Garczarczyka (Gazeta Poznańska) oraz Michała Strzeleckiego i Władysława Lachowicza z prasy łódzkiej. Nie twierdzę, że ci co grali, byli gorsi, ale... nasza kadra była za szczupła. Dla zmęczonych brakowało dobrych zmian.

Ten właśnie czynnik zadecydował o naszej klęsce dosłownie w ciągu pięciu minut. W 85 było 0:0, a w 90 aż 1:4! Koledzy gonili resztkami sił, wielu z nich łapały skurcze nóg. Prysł sen o kolejnym remisie. Tylko Witek Różycki (w czasie okupacji bramkarz legendarnego „Błysku" z Kolonii Staszica) do końca bronił rewelacyjnie. Sprawozdawcy „PS" z tego meczu Andrzej i Krzysztof potraktowali nas bardzo serio i z sympatią, ale gdzie tylko mogli, jakąś tam szpileczką ukłuli:

... „Różycki bronił wszystko i tylko dzięki niemu tak długo utrzymywał się wynik bezbramkowy... Dziennikarze odpowiednio nastawieni przez red. red. Zielińskiego ze „Sztandaru Młodych" i Lechowskiego z „Przeglądu Sportowego" najlepiej zagrali zaraz po przerwie. Ataki, jak lawina sunęły na bramkę Głowackiego, ale większość z nich stopował Koncewicz. Grał twardo i zdecydowanie.

Kiedy spodziewano się, że prasa położy trenerów na łopatki, nagle staliśmy się świadkami jakiegoś paraliżu fizycznego dziennikarzy. Ich zespół w końcowej fazie meczu dosłownie zniknął z murawy. Teraz hasała tam tylko drużyna trenerów. Przerobiła rywala na ser szwajcarski i w ciągu pięciu minut strzeliła cztery gole. Pewną świeżość zachował tylko Mejer, na polu karnym sfaulował go Koncewicz, a rzut karny pewnie wykorzystał red. Szymkowiak.

Dziennikarze stanowili jednak nadspodziewanie silny zespół. Niemniej kierownictwo drużyny musi się zastanowić nad przyczyną stagnacji w drugiej połowie. Wtajemniczeni twierdzą, że wielu zawodników prasy częściej przebywa w „Kameralnej" i w „Domu Dziennikarza" na Foksal, niż na boisku. To znamionuje niesportowy tryb życia. Do meczu rewanżowego zespół prasy obiecał przystąpić w lepszej kondycji i w nieco silniejszym składzie...".

W lidze Górnik Zabrze, po kiepskim sezonie 1958, w następnym mocno odbił się od dna. Wywalczył mistrzostwo praktycznie niezagrożony od startu do mety z dużą przewagą nad Polonią Bytom, Gwardią i Legią Warszawa. Grał dobrze. Miał w swoich szeregach 7-8 potencjalnych reprezentantów Polski, a wśród nich czterech pozytywnych bohaterów z meczu z ZSRR w Chorzowie (Gawlik, Floreński, Jankowski i Lentner). Zabrzanie zrobili więc to, co do nich należało. Jednak do historii naszej ligi przeszły wówczas dwa zupełnie inne wydarzenia. Jedno z udziałem dwóch Polonii z Bytomia i Bydgoszczy, a drugie głównie za sprawą Pogoni Szczecin i Legii Warszawa.

Dotychczas przez ponad 150 lat dzień 3 maja kojarzył się Polakom z uchwaleniem pierwszej w Europie, a drugiej na świecie, demokratycznej konstytucji. To powód do dumy. W dzieciństwie, w każdą rocznicę tego historycznego wydarzenia ja też śpiewałem: „**Witaj, majowa Jutrzenko**!", „**Witaj maj, 3 maj, dla Polaków błogi raj!**". Wkrótce, choć z zupełnie innego powodu, dzień ten znowu mocno utrwalił się w pamięci. Właśnie 3 maja 1959 roku po raz pierwszy w Pol-

sce na Stadionie Śląskim w Chorzowie zabłysło elektryczne oświetlenie. Luksów jeszcze niewiele, ale radość i frajda ogromna. Poinformowałem o tym czytelników „PS" w okazjonalnym felietoniku „**Od Edisona do Stachonia**". ...„Przeżyliśmy historyczny dzień dla polskiego piłkarstwa, o którym jeszcze przed kilkoma laty nikomu się nie śniło. Pierwszy mecz piłkarski przy sztucznym świetle! Czekamy teraz na następne miasto, które pójdzie w ślady Chorzowa. Będzie to Kraków, Warszawa czy Łódź?"

W stolicy już w następnym sezonie, podczas meczu Legia – Aarhus o Klubowy Puchar Europy, zabłysły na Łazienkowskiej jupitery, ale na Konwiktorskiej dopiero na Wszystkich Świętych w 2003 roku. Chorzów był jednak pierwszy. Wagę tego wydarzenia podkreślano rozegraniem ligowego meczu Polonia Bytom – Polonia Bydgoszcz. Pod każdym względem było to frapujące widowisko. „**Przy blaskach sztucznych słońc na śląskim gigancie Janek Liberda strzela trzy bramki**" – taki był tytuł do sprawozdania z tego niecodziennego spotkania. W sumie tych bramek było pięć, wszystkie dziełem „bezdomnych" bytomian.

Tę niecodzienność spotęgował jeszcze jeden figiel Janka Liberdy zaprezentowany wespół z Heniem Kempnym. Już w 30 sekundzie sędzia tego meczu podyktował rzut karny dla bytomian. Cóż w tym dziwnego? Posłuchajcie. Oto po raz pierwszy i jak na razie ostatni w swej ponad pięćdziesięcioletniej karierze zawodowej, obejrzałem „jedenastkę" strzeloną na raty. To swoiste „kuriozum" nawet dla byłego sędziego FIFA, a dziś prezesa PZPN, Michała Listkiewicza: – *Jak to było panie Jurku*? – pytał niedawno. – Niezwykle prosto, bez żadnych dziwolągów – po prostu Liberda lekko kopnął piłkę do przodu, zza jego pleców wyskoczył Kempny i z kilku metrów huknął nie do obrony. Burchardt w bramce bydgoszczan był równie bezradny, co zaskoczony. Potem gole sypały się, jak z rogu obfitości.

Drugie niezwykłe wydarzenie przeżyłem tuż przed zakończeniem sezonu 1959, dokładnie w niedzielę 15 listopada. Górnik tytuł mistrza miał już w kie-

szeni, natomiast wciąż nie było wiadomo, kto obok Górnika Radlin spadnie z I ligi – Cracovia czy Pogoń Szczecin. Oba zespoły trafiły na finiszu na wyjątkowo mocnych rywali – Cracovia na nowego mistrza Polski, a Pogoń na Legię zawsze groźną na własnym boisku. „Dobrze zorientowani" twierdzili, że Górnik „puści" mecz w Krakowie i uratuje zasłużoną Cracovię przed degradacją. Wtedy Pogoni nic nie da wygrana w Warszawie! Podzieli los Radlina...

Zwolennicy „pasiaków" woleli jednak „dmuchać na zimne". Szczególną troskę o losy pierwszego mistrza Polski z roku 1921 i pierwszego po wojnie triumfatora ligi w 1948 wykazali dziennikarze krakowscy. To normalne, zadbali o własny interes. Przy okazji jednak i mnie wmieszali w te rozgrywki. Otóż red. Tadeusz Dobosz napisał w „Tempie" „List otwarty do redaktora Jerzego Lechowskiego". Apelował, abym zadbał o „czystą grę" w spotkaniu Legia – Pogoń Szczecin.

„Krótko mówiąc – pisał kolega z Krakowa – chodzi o zabezpieczenie się przed zeszłoroczną „niedzielą cudów"... kiedy to opinię piłkarską zaskoczyły wyniki dwóch spotkań: Stali Sosnowiec z Cracovią i Gwardii Warszawa z Polonią Bydgoszcz... Wszystko „rozeszło się po kościach"... Teraz jednakże zbiera się nowa fala podejrzliwości... Krążą plotki na temat możliwości „cudów" w meczach Legia – Pogoń i Cracovia – Górnik Zabrze, które zadecydują o wyłonieniu drugiego „spadkowicza"! Zarówno Górnik Zabrze, jak i Legia są o klasę lepszymi zespołami od Cracovii czy Pogoni i w normalnych warunkach zwycięstwa ich nad „spadkowiczami" nie podlegałyby dyskusji...

– Lecz wie Pan, Panie Jurku, co spędza sen z powiek obozowi pesymistów krakowskich? Możliwość „cudu w Warszawie"!!! Legia da wygrać Pogoni, bo... nie lubi „pasiaków". A cóż to za plotkarskie miasto ten Kraków! – pomyśli sobie Pan w duchu ze słusznym oburzeniem. Cóż za piramidalne nonsensy!... Miejmy nadzieję, że w tym roku „niedzieli cudów" nie będzie. Pan ze swej strony może zdopinguje na szpaltach „Przeglądu Sportowego" Legię do pełnego wysiłku i do

zwycięstwa. Potem już jedenastka Zientary i Brychczego może „poczuć się zmęczona" i może sobie odpocząć"...

Poczułem się głupio. Dlaczego akurat ja mam spełniać tak niewdzięczne zadanie? Mam pójść na Legię i prosić piłkarzy, by wygrali z Pogonią? Jeśli są lepsi, to poradzą sobie bez mojego apelu. Po naradzie z „panem Grzegorzem" posłaliśmy jednak na Łazienkowską Zbyszka Mejera. Niech się dowie, co o tym sądzi szef klubu, Edward Potorejko.

– „Czytałem „Tempo" – powiedział – i jestem oburzony tekstem redaktora Dobosza. W niedzielę nie będzie „lipy". Legia bez względu na warunki i okoliczności będzie grać uczciwie..."

Trenerem Pogoni był wówczas Edward Brzozowski, niegdyś czołowy piłkarz Polonii, a później wybijający się szkoleniowiec Gwardii Warszawa. Do wesołego Szczecina wybrał się z ochotą, bo lubił również poza boiskowe rozrywki. Nocny lokal „Bajka" stwarzał po temu duże możliwości. Bez grzechu i do syta można się było wyżyć w tamtejszym półświatku. W cyklu reportaży opisałem to na łamach „PS". „Głos Szczeciński" odpowiedział złośliwym „Pan Lechowski odkrywa Szczecin". Mój kłopot. Brzozowski był przede wszystkim dobrym warsztatowcem, miał ambicję utrzymania Pogoni w I lidze. On chciał, a pseudokibice żądali! „*Jeśli Pogoń spadnie, zginiesz jeszcze tego samego dnia*" – grozili. – *Żona będzie mogła zbierać twoje kości do worka i... wywieźć do Warszawy*". Trener jednak przeżył, a Pogoń nie spadła.

Wynik 4:0 dla Pogoni mógł i na zdrowy rozum powinien sugerować, że jednak „lipa" była. Gdyby wówczas działali w PZPN Józef Ciszewski z Bielska-Białej i inni „niedowartościowani" działacze z peryferii ligowego futbolu, tacy sami, jak ci – którzy w roku 1993, strojąc się w togi prokuratorskie odebrali Legii mistrzostwo Polski, zapewne już w 1959 zbudowali by szubienicę dla zwycięzców i pokonanych. A jednak nic takiego się nie stało. Zarówno ja w „Przeglądzie Spor-

towym", jak również Tadeusz „Rebe" Maliszewski ze „Sportu" Katowice (taki autorytet!) nie mieliśmy wątpliwości, że Pogoń rozegrała w Warszawie mecz życia. I zwyciężyła zasłużenie!

– Miała – jak to często mawiał trener Wojciech Łazarek – „dzień konia". Wszystko jej „żarło", natomiast legionistom nic się nie udawało. Poza tym ci urodzeni w Warszawie nie mieli motywacji. Szalał natomiast Brychczy (trafił w poprzeczkę), mocno strzelał z dystansu Strzykalski, cała grupa „stołecznych Ślązaków" wprost wychodziła ze skóry, ale bez powodzenia. Przebąkiwano na widowni, że decydujący głos w tej rozgrywce mieli podejrzani o spisek: Fołtyn, Grzybowski, Woźniak i Zientara. Podobno „na serio" odczytali pogróżki szczecińskich kibiców. Ale podejrzenia, że Brzozowski osłabił och „waleczność" specjalną premią za przegraną stanowczo odrzucili. „Dzieckiem szczęścia" w tym dziwnym meczu był junior, Marian Kielec. Niedoceniony przez obrońcę „Grzybka" i bramkarza Fołtyna strzelił Legii trzy bramki. Wściekał się trener Stiepan Bobek. W szatni zbeształ całą defensywę. Po przerwie przy stanie 2:0 dla Pogoni postawił w bramce Konrada Kornka. Długo był bezrobotny. Teraz co najmniej przez 30 minut z furią atakowali wojskowi, ale ich pasja warta była funta kłaków. Rewelacyjnie grał stoper Pogoni, Nowacki. W końcówce zdegustowana Legia „nadziała" się na dwie kolejne kontry portowców i ostatecznie przegrała 0:4. Brzozowski był wniebowzięty:

– „To mój największy triumf! Nie mam wprost słów uznania dla Kielca. Wbrew oporom kierownictwa klubu jeszcze raz postawiłem na Mariana i dobrze na tym wyszedłem. Jego druga bramka, psychologiczna, przeważyła szalę zwycięstwa. Odchodzę z Pogoni, ale szczęśliwy i – co najważniejsze – w dobrym zdrowiu i samopoczuciu".

Początek 1960 roku przyniósł kolejną sensację na skalę ogólnopolską. W prasie ogłoszono koniec „zimnej wojny" sportu z telewizją. Już to jedno zdanie su-

gerowało, że w ostatnich pięciu latach, to jest od momentu, kiedy TVP karmiła nas głównie tonami wydobytego węgla i produkcją zboża z hektara, taka wojna rzeczywiście była. Powód? Dziś trudny do zrozumienia, bo teraz telewizja płaci sportowi za jego usługi, ale wówczas i jeszcze długo, długo później było zupełnie inaczej. TVP faktycznie okradała sport! Odbierając widza, nie dawała w zamian nic, narażała więc kulturę fizyczną na straty.

Jeśli tak dalej pójdzie – publicznie głoszono – upadnie sport, a w ślad za tym sportowa telewizja, bo w swej produkcji straci bardzo atrakcyjny towar. Sądzono, że ten gordyjski węzeł rozwiąże państwo. Ale odezwały się też głosy, że państwo nie powinno dopłacać. Telewizja sama na siebie zarabia, bo pobiera opłaty od abonentów. Dobre chęci i dyskusja na ten temat niewiele więc dały. Telewizja pozostała żarłocznym rekinem. W dobrych czasach Widzewa, opowiadano mi o tym w Łodzi, prezes Ludwik Sobolewski przekazał na konto TVP 15 tysięcy dolarów, jako ekwiwalent za transmisję z rozgrywek o Klubowy Puchar Europy.

Ba, jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych (wiem, bo wtedy jako wiceprezes PZPN wraz z Eugeniuszem Kolatorem pertraktowałem w tej sprawie na Woronicza), żądano od Związku grubych pieniędzy za usługi. Zachłanni ignoranci. My mieliśmy diametralnie inne zdanie i nasze drogi się rozeszły. Już zburzono „mur berliński", dogorywała „zimna wojna", ale zgrzyty na linii TVP – PZPN nie ucichły. Prawdą jest, że niegdyś również na Placu Powstańców podejmowano nieudane próby przeprowadzania bezpośrednich transmisji z rozgrywek ligowych. Wraz z Bogdanem Tuszyńskim ja też maczałem w tym palce, ale dopiero Canal Plus dał kibicom to, na co od lat bezskutecznie oczekiwali. Ligę, piłkarski „chleb powszedni"! I płaci za ten towar! Dla niektórych klubów jest to niewątpliwym dobrodziejstwem i często ostatnią deską ratunku. Telewizję publiczną ani to ziębi ani parzy. Dla ligowego piłkarstwa nadal jest złą macochą!

Był to Rok Olimpijski. W Rzymie, po wygraniu wstępnych eliminacji z NRF, pojawiła się również nasza reprezentacja piłkarska. Od początku Krug, Koncewicz i Prouff mieli kłopoty z obsadą pozycji środkowego obrońcy. Lekką ręką, za jakieś domniemane kontakty ze znajomym menedżerem z Berlina Zachodniego, od drużyny odsunięto Romana Korynta. Nikt go nie bronił i nikt nie zdołał w pełni zastąpić. Powróciliśmy do tego wydarzenia w styczniu 2004 roku na noworocznym spotkaniu w PZPN. Przy jednym stoliku zasiedli starzy przyjaciele: Korynt, Jezierski, Lechowski, Woźniak, Zientara... Roman łez w oku nie miał, ale żalu ukryć nie potrafił:

– Potraktowali mnie, jak szpiega... Idioci!...

– Odebrano nam niecodzienną szansę! – ubolewał Andrzej. – Rozpadł się monolit... Nikt nie potrafił załatać dziury w obronie po stracie Romana...

– Atmosfera była kiepska – przypomniał „Siwy". – A przecież od dawna mieliśmy drużynę z aspiracjami na olimpijski medal! Szymek, Roman, Ernest, „Kici", Andrzej, Hachor, Marcel...

– Pseudopolitycy pozbawili nas wszelkich złudzeń – zakończył ten przykry temat Edmund Zientara.

Wyprawa „olimpijczyków" do Wiecznego Miasta zakończyła się zupełną klapą. Nie udała się też podróż juniorów na turniej UEFA do Austrii. Obsługiwałem tę imprezę dla „PS". Reprezentacja Under-19 pokonała tam tylko Bułgarię, natomiast pozostałe dwa mecze z Anglią i Austrią wyraźnie przegrała. W zespole Wyspiarzy grało kilka późniejszych mistrzów świata 1966. Nad piękny modry Dunaj pojechało też pięciu naszych zawodników, którzy już mieli za sobą chrzest ligowy: bramkarz Białek z Odry Opole, obrońca Hajnisz z Szombierek, pomocnik Kajzerek z Górnika Zabrze oraz napastnicy Gaik z Zagłębia Sosnowiec i Kielec z Pogoni Szczecin. W Grazu i Wiedniu zawiodła cała piątka.

W meczu z Bułgarią trener Władysław Stiasny postawił na rezerwowych z niższych klas. Sensacja, Polacy wygrali 2:1. Wyeliminowali plejadę młodocianych bułgarskich gwiazdeczek. Pokonani byli wściekli, bo sądzili, że się podłożymy. Przebąkiwali o tym w hotelu i prosili o „pomoc" tuż przed meczem. Nie z Motoczyńskim takie numery! W cieniu naszych ambitnych Orlików byli późniejsi wybitni reprezentanci Bułgarii: stoper Żeczew, lewy obrońca Szałamanow, środkowy napastnik Asparuchow i błyskotliwy lewoskrzydłowy Dżordżiłow. „Cudowne dzieci" – jak mówił o nich Dymitr Popymitrow – z Sofii i Plowdiw. Najsłynniejszy z nich Georgi „Gundi" Asparuchow dziesięć lat później zginął tragicznie. Był talentem na miarę naszego Włodka Lubańskiego. Bułgarzy często dawali mi do zrozumienia: – Nie ma Boga, nie ma cara, jest tylko „Gundi". Samo Asparuchow!...

Po meczu z Bułgarami felietonista wiedeńskiego „Kuriera" pisał:

...„Polaków musimy szanować i zawsze dobrze ich wspominać. Swego czasu król Jan III Sobieski uwolnił Wiedeń od Turków, nigdy tego nie zapomnimy. Dziś należy podziękować jedenastce piłkarskiej, przyjaznym nam gościom za pokonanie Bułgarów i utorowanie Austrii drogi do półfinału turnieju UEFA. Polacy zademonstrowali piękny, skuteczny futbol. Suski i Kowalik byli najlepsi na boisku".

Nie była to jednak zgrana ekipa. Ci młodsi: Rewilak, Nowak, Musiałek, Studnicki, Hausner, Dziewiątkiewicz, Kasprzyk i Kowalik zachowywali się nienagannie, ale za tych nieco starszych, głównie „ligowców" najedliśmy się w Austrii sporo wstydu. W Wiedniu z magazynu „80 Tage umher der Welt" przy Mariahilferstrasse kilku z nich usiłowało nielegalnie wynieść kilka par dżinsów i koszulek polo, kłócili się między sobą, a Kielec nawet pobił Hajnisza. W kierownictwie ekipy też za dużo sobie pozwalano. Wyjątkowo lekko traktował tę imprezę opiekun reprezentacji z ramienia GKKFiT, Jan Runowski. Umizgi do hotelowej barmanki i wyłudzanie od Motoczyńskiego szylingów na jej zachcianki – to

miał głównie w głowie. A potem przy dewizowym rozliczeniu w kraju „profesor" z własnej kieszeni spłacał „rozrzutność nadkierownika".

INTERWIEW Z ROUS'EM I KOPĄ

Oficjalne zakończenie turnieju odbyło się na wzgórzu Kahlenberg. To słynne miejsce w tym kraju i bliskie sercu każdego Polaka, wszak uświęcone pamięcią wiedeńskiej wiktorii króla Jana III Sobieskiego. Wdrapywaliśmy się tam przez oświetlony Gruenzing i śpiewający Lasek Wiedeński, ten z muzycznych opowieści Johanna Straussa. W kaplicy na Kahlenbergu uczestniczyliśmy w mszy świętej, na murach świątyni odczytywaliśmy polskie nazwiska. Był tam również twórca turniejów FIFA Anglik, sir Stanley Rous. Krok w krok podążała za nimi urocza blondynka z czarną teczką w ręku. Mówiono, że Rous często zmienia asystentki. Ta właśnie młoda blondyneczka ułatwiła mi przeprowadzenie wywiadu z tym dostojnym dżentelmenem. Ale ostrzegła, że szef nie jest zbyt rozmowny, utrzymuje dystans wobec nieznanych osób i... potrafi być złośliwy...

– Jesteś juniorem? – pierwszy zapytał.

– Oj nie, dziennikarzem... Chciałbym przeprowadzić wywiad z panem prezydentem.

– Dziennikarz? Młodo wyglądasz... Naprawdę to twój zawód? Co cię interesuje?...

– Wszystko, a najbardziej pana droga do futbolu i pierwsze turnieje juniorów, wtedy organizowane przez FIFA.

– Synu, praca z młodzieżą zawsze była i jest pasją mojego życia. Już w latach międzywojennych, kiedy juniorski futbol był jeszcze w powijakach, śniłem o zorganizowaniu zawodów z udziałem chłopców z całej Europy. Wojna przerwała moje marzenia. Młodzież poszła na wojnę...

– Jednak w 1948 roku dopiął pan swego?

– Zaraz po wojnie był bardzo korzystny klimat dla moich idei. Młodzież była inna, zmęczona, ale też mądrzejsza, bardziej doświadczona. Miała dość walki zbrojnej, więc z ochotą przystała na rywalizację sportową. Przekonałem młodych i ich opiekunów, że z pomocą sportu można i trzeba zatrzeć ślady nienawiści między narodami, które prowadziły wojnę. W tamtych czasach byłem sekretarzem generalnym Angielskiej Federacji Piłkarskiej.

– To był pana pierwszy sukces międzynarodowy?

– Drugi... Pierwszy to zorganizowanie w 1947 roku meczu seniorów wspólnej drużyny Wielkiej Brytanii z reprezentacją reszty Europy, to pamiętne Great Britain – Rest of Europe. My, Wyspiarze wygraliśmy wówczas aż 6:1. Po takim sukcesie zorganizowanie międzynarodowego turnieju juniorów było już tylko kwestią czasu.

– Patronowała mu wówczas FIFA...

– To zrozumiałe, UEFA powstała dopiero w połowie lat pięćdziesiątych.

– Mile wspomina pan ten pierwszy turniej?

– Jak w rodzinie pierwsze dziecko. Bo też była to nadspodziewanie udana impreza, choć z kontynentu przyjechały tylko cztery reprezentacje: Austria, Belgia, Holandia i Włochy. Razem dało to osiem zespołów, bo z Wysp wystąpiły: Anglia, Irlandia, Irlandia Północna i Walia. Turniej wygrała Anglia. Dziś może się to komuś wydać dziwne, ale w roku 1948 nie to było dla mnie najważniejsze. Świętością znowu stało się posłanie barona de Coubertin'a: „Ważny jest udział, nie zwycięstwo..."

–... i spartańskie warunki imprezy – wtrąciłem.

– Oczywiście! Zakwaterowaliśmy chłopców w Royal Air Force – Lager pod Londynem. Trochę z konieczności, bo w Londynie z hotelami było krucho, ale też dlatego, by młodzież mogła dostrzec zmiany dokonujące się w świecie. Tam,

gdzie jeszcze w roku 1945 były koszary dla lotników, teraz mieszkali młodzi piłkarze. Chłopcze, czy wyobrażasz sobie, jaki ja byłem wtedy szczęśliwy i dumny?!...

– Czy chłopcy tylko kopali piłkę?

– Ależ skąd!... Po południu rozgrywali mecze, a wieczorem w sali koncertowej Royal Air Force – Lager organizowali niezapomniane „Sing – songs". Każdy zespół miał własny program artystyczny, zresztą śpiewali i tańczyli wszyscy. Był fortepian, ktoś miał gitarę, ktoś inny bębenek i organki... Dwie piosenki „It's a long way to Tipperary..." i „May Bonnie is over the ocean.." znał każdy. W różnych językach mówiły o tym samym: długiej i trudnej drodze do celu, wyrażały uznanie dla ludzi odważnych i sławiły ich bohaterskie czyny.

Sir Stanley Rous, jeszcze przed powstaniem UEFA, był pierwszym przewodniczącym Międzynarodowej Komisji Młodzieżowej. Marzył, aby następne turnieje FIFA miały większą obsadę i były bardziej okazałe. Nieśmiało więc zapytałem:

– Jak się pan czuł, gdy na kolejnych turniejach zjawiło się jednak mniej drużyn i nawet najbliżsi przyjaciele zwątpili w celowości pana wysiłków?

– Podle... Rozgoryczony, nie mogłem pojąć, dlaczego działacze podważają wzniosłość i sens mojej idei. Ja jednak wierzyłem w pomyślną przyszłość turnieju i... cierpliwie czekałem.

– Jak długo?

– Pięć lat... Dopiero w roku 1953 do Belgii przyjechało 16 reprezentacji. Spadł mi kamień z serca. Zacząłem zbierać owoce!... Pamiętam też debiut polskich juniorów na tej mojej imprezie. To było we Włoszech, w Montecatini... Młodzież stała się „oczkiem w głowie" wszystkich europejskich federacji.

Na krajowych boiskach niespodzianka, Ruch mistrzem Polski. I znowu spory w tym udział miał Janosz Steiner. Najpierw w Warszawie, potem w Zabrzu, teraz w Chorzowie. Po raz ostatni. Przed końcem rundy wiosennej Węgier od-

szedł od nas na zawsze. Zmarł nagle, wkrótce po operacji wyrostka robaczkowego. Jego następcy, Cebula i Szolar, nie zaprzepaścili zarysowującej się szansy. Ruch na finiszu zdystansował Legię. Właśnie to było największą niespodzianką.

O wartości wojskowych, prowadzących w lidze przez całą rundę wiosenną, decydowali olimpijczycy z Rzymu: Fołtyn, Grzybowski, Woźniak, Strzykalski, Zientara, Gadecki i Brychczy. Trenował ich Kazimierz Górski. Odszedł z PZPN i podjął pracę na Łazienkowskiej. Ambicje klubu sięgały mistrzostwa Polski. Do rundy wiosennej Górski przygotował drużynę doskonale, wyraźnie górowała nad rywalami. Po igrzyskach w Rzymie coś się jednak zacięło w zespole. W słabszej formie był teraz również pan Kazimierz. W bezpośrednim pojedynku Legia – Ruch w Warszawie wojskowi byli zdecydowanym faworytem. Osiągnęli miażdżącą przewagę, a jednak przegrali 1:2. Obrońcy nie docenili szybkości i sprytu prawoskrzydłowego Kazimierza Poloka oraz przebojowości mocnego fizycznie Jana Szmidta. Błędy indywidualne? Nie tylko. Także wadliwe zestawienie formacji defensywnej.

Z powodu przewlekłej kontuzji nie zagrał w tym meczu stoper Henryk Grzybowski. Ewentualnie mógłby go zastąpić 21-letni wtedy Jacek Gmoch, zawodnik ambitny, waleczny, zdyscyplinowany, ale trener uznał, że jest jeszcze nie doświadczony. Może nie podołać odpowiedzialnemu zadaniu. Postawił więc na rutynowanego pomocnika Strzykalskiego. W Legii spełniał on już (i to dobrze) rolę forstopera, przeto poradzi sobie również na stoperze. Rozumowanie teoretycznie logiczne, na boisku nie zdało egzaminu. „Marcel" grał fatalnie. Górski przyznał się do błędu:

Liczyłem na rutynę Marcela i... przeliczyłem się. Zresztą, nie tylko ja, także Zientara i Brychczy, bo i oni „głosowali" za Strzykalskim. Na treningach był lepszy od Słaboszowskiego, a Kostaniak – kontuzjowany. Pozostał Gmoch... Teraz dopiero wiem, że powinien zagrać w tym meczu.

Głównie ten błąd kosztował Legię mistrzostwo Polski. Ruch, aby definitywnie sięgnąć po tytuł, musiał jeszcze wygrać ostatni mecz z Wisłą Kraków. Wróble na dachu ćwierkały, że to żaden problem – starzy przyjaciele z boiska Cieślik i Gracz na pewno się dogadają. W Chorzowie pewnie wygra Ruch! Byłem na tym meczu i wszystko widziałem. Walczono... Przedostatni dzień października 1960 roku, niedziela godzina 12.00. Pogoda ładna, ale wiał dość silny wiatr. Kto lepiej sobie z nim poradzi? Ścierają się dwa zupełnie inne szkoły gry: dokładna, przyziemna, niezła technicznie gra Wisły i... żywiołowe ataki, szybko i odważnie walczących chorzowian. Przed przerwą górą była Wisła, prowadziła 1:0 ze strzału Andrzeja Sykty. Wtedy jeszcze, mistrzem Polski była Legia, wicemistrzem Górnik, a Ruch dopiero na trzecim miejscu. Celny w 52 minucie strzał Szmidta na 1:1 zrodził w Chorzowie nadzieję na barażowy pojedynek z Legią.

– To wątpliwa szansa! – pokrzykiwali kibice. – Trzeba wygrać z Wisłą!..

Było 2:1 dla Ruchu. „Ojcem chrzestnym" tego zwycięstwa i... kolejnego tytułu mistrza Polski był szybki, jak gazela – lewoskrzydłowy Eugeniusz Faber. Zaraz po meczu do akcji wkroczyła orkiestra dęta Huty Batory. Najpierw zasłużone „Sto lat" za kolejne mistrzostwo, a potem melodyjne tony marsza „Most na rzece Kwai". Wokół stadionu defilują piłkarze wraz z kibicami. Nie ma burd, awantur, atmosfera prawdziwie sportowa. Wśród gratulujących piłkarze Wisły, no i oczywiście „Messu" Gracz. Całuje Gerarda Cieślika. Sztandar z „białą gwiazdą" zmieszał się z tłumem triumfujących gospodarzy. Przyjacielskie gesty najstarszych ligowców były cząstką radości, jaką z okazji fety w Chorzowie przeżywała wówczas cała piłkarska Polska.

Bramkarz Ruchu Ryszard Wyrobek właśnie z Wisłą rozegrał tysięczny mecz w barwach „niebieskich". Szczególny powód do dumy. Zaraz po meczu podbiegła do niego żona z jedenastoletnim synkiem Jurkiem i wręczyła „Pingolowi" bukiet pięknych kwiatów. Rodzina Wyrobków defilowała w jednym szeregu z ki-

bicami. Sztafeta pokoleń. Ojciec, Ryszard dwukrotnie bronił barw reprezentacji Polski (1954-1956), natomiast syn Jerzy – czternaście razy w latach 1970-1977. Konkurentami ojca byli, między innymi: Edward Szymkowiak, Tomasz Stefaniszyn i Henryk Gronowski, a syna: Jerzy Gorgoń, Stanisław Oślizło, Walter Winkler i Roman Strzałkowski. Rodzina Wyrobków odegrała więc w historii swojego klubu i reprezentacji Polski rolę szczególną.

Ryszarda Wyrobka znałem dobrze, a Jurka znam doskonale od juniora. Takim, jakim był, pozostał: skromny, koleżeński, ambitny, pracowity. W dobrej robocie upatruje źródeł sukcesów. Jako piłkarz zdobywał dla klubu mistrzostwo i Puchar Polski, jako trener w sezonie 1988/89 doprowadził Ruch do czternastego w jego historii – mistrzostwa Polski. Pomagał mu w tym dziele Henryk Wieczorek, syn Teodora, też wybitnego piłkarza i trenera. Teraz Ruch przeżywa chwile słabości. W przeszłości potrafił przezwyciężać jeszcze większe kłopoty. Na ulicę Cichą w Chorzowie wróci radość i spokój...

Futbol w porównaniu z innymi grami zespołowymi jest łatwy w odbiorze, ale wyniki spotkań piłkarskich najtrudniejsze do przewidzenia. Oczywiście i tu są jakieś granice niespodzianek, jednak jest ich zdecydowanie więcej, niż na przykład w siatkówce, koszykówce, względnie w hokeju na lodzie. W latach 1960 – 1961 zwłaszcza wzloty i upadki naszej reprezentacji w pełni potwierdziły tę tezę. Przegrywała, gdy była faworytem, zwyciężała, gdy nikt na to nie liczył. Oto 4 maja 1960 w Glasgow „biało-czerwoni" pokonali Szkocję 3:2, a fantastyczny gol strzelony przez Ernesta Pohla wstrząsnął stadionem Hampden Park. Czy to nie piękne?

Po tym sensacyjnym zwycięstwie kapitan zwycięskiej drużyny Edmund Zientara nadesłał do redakcji „Przeglądu Sportowego" list, w którym podważył krytyczne opinie Jerzego Zmarzlika o poziomie i możliwościach reprezentacji. Redaktor przyjął tę uwagę z godnością i... natychmiast oddał należną cześć zwycięz-

com. Napisał, że ich sukces w Szkocji plasuje się na trzecim miejscu wśród najlepszych występów reprezentacji, tuż za przedwojennym 4:2 z Węgrami w Warszawie i niedawnym 1:1 z NRF w Hamburgu, a przed 2:1 z ZSRR w Chorzowie. I radził kibicom: – *Zapamiętajcie ten dzień! Bramki Baszkiewicza, Brychczego i Pohla...*

Dobrze, aż za dobrze zapamiętałem tę wiktorię na Hampden Park. Z dużymi nadziejami i pochwałami pod adresem Polaków udałem się do Moskwy na kolejny mecz ZSRR – Polska. Na zamówienie „Sowieckiego Sportu" napisałem artykuł gloryfikujący nasz zespół. W moskiewskiej redakcji wywiesili to nawet na tablicy z krótkim komentarzem: „**Najlepsza publikacja w numerze"**. Tak było przed meczem, ale po spotkaniu nie zostawiono na mnie suchej nitki:

– To ma być ta wspaniała drużyna? – podkpiwano. Gdzie był dziś ten walczący obrońca „Burza"?... Ani błyskawic, ani grzmotów! Jakim cudem Polska wygrała w Szkocji? Gdyby w czwartek na Łużnikach padł tuzin bramek, nikt nie byłby zdziwiony... Waliliśmy w naszych piłkarzy, jak w prujący się ze starości bokserki worek treningowy...

Nie było to przyjemne, rumieniłem się ze wstydu. Wytrącono mi wszelkie argumenty. Zresztą, jak tu usprawiedliwiać zespół, który przegrał 1:7?! Z czasem jednak doszedłem do wniosku, że za tę klęskę winić należy nie tylko przegranych gości, lecz także zwycięskich gospodarzy. Nas obciąża przede wszystkim „nowatorska" taktyka i błędy w składzie drużyny. Jean Prouff, wówczas pierwszy trener reprezentacji, zalecił naszym obrońcom indywidualne opiekowanie się napastnikami rywala. „Każdy" miał pilnować „swego"! Obronę strefową, która w 1957 w Chorzowie dała Polsce zwycięstwo 2:1, uważał za taki sam przeżytek, jak stary „polski zapis" w brydżu. Tu i tam – przekonywał Francuz – już od dawna obowiązują kryteria międzynarodowe!...

cdn